

MAŁY PRZEGLĄD

pismo dzieci i młodzieży

Wychodzi co piątek rano

korespondencji i materiały kierować należy

do redakcji

„MAŁEGO-PRZEGLĄDU”

Nowolipki 7.



TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 97 (4167) „NASZEGO PRZEGLĄDU”

Niezdługo kwietniowe kleksy i anginy A jednak wiosna

Lekko, leciutko nadchodzi wiosna.

Kilka razy przechodzę przez jezdnię to na jedną, to na drugą stronę chodnika, bo oto tu widzę jasną plamę, a oto tam...

Rozstanieczniła się, rozspiewała dusza. Chciałoby się biec i krzyczeć z radości, że przecie wiosna na dworze.

Pomyślcie: niezdługo już zazieleni się wszystko;

niezdługo można będzie iść z plecakiem ścieżką polną, i zwrzucić buty i pończochy, przeprawić się przez strumyk;

niezdługo już można będzie leżeć w cieniu drzew i czytać książki;

niezdługo obudzimy się o świcie, wymkniemy się przez okno do ogrodu, przyglądając się będziemy wschodowi słońca, słuchać porannego śpiewu ptaków, i tulić się do mokrych jeszcze drzew.

— Już dawno nie byłaś w takim humorze — mówi z uśmiechem matka.

Rzucam się jej na szyję, całuję zmarszczone czoło i tak pięknie dawniej, a już dziś wyblakłe oczy.

— Wiosna, mam, wiosna! — i zbiegłam na dół.

Dokąd idę i pocię?

Biegę przed siebie bez celu i potrzeby, biegnę w rozgwiazdę i ruchu uczciwej, mieszczaniskiej ulicy, bezwstydnie szczęśliwa, wymachuję rekoma i buździ pozdrawiam uśmiechem, jak dobrych przyjaciół.

— Ta dziewczyna dostała chyba bzika!

To nie ja, kochani, to ona — ta wiosna!

PSD.

Ciepła, złota smuga

Dzień urywa nocy kwadrans mroku na dobę. Słońce rwie na strzępy chmury. Piec z godnością odparł wszystkie ataki mrozu i teraz stoi w słońcu niepożrebny, zasłużony, jak bohater w sławie.

Najpiękniejsza pora roku. Cieszyć się trzeba — z radością witać każdy nowy dzień. Ale ludzie nie umieją cieszyć się tem, co mają i naprawdę psują sobie życie.

— Czy wiosna rozwije wszystkie nasze szkolne i poza szkolne zgryzoty?

— Czy wiosna jest ucieczką przed egzekutorem i licytacją?

— Czy wiosna da mi posadę?

— Czy ziemia przestanie się kręcić, jak pies za swym ogonem?

Nie, z pewnością nie. Ziemia będzie się kręcić w kółko, mimo przepowiedni, że zbliża się koniec świata. I na wiosnę może zdarzyć się fakt, który popsuje humor. Z pewnością. Na wiosnę nie znika groźba wojny, słońce nie zmniejszy ilości bezrobotnych, zapach kwiatów nie odurzy belfra i komuś ma wlepić dwie,

Leżę w łóżku zły i zdenerwowany. Mam anginę. A więc wiosna? No, bo choruję zawsze na wiosnę.

Spoglądam z wściekłością na ulicę, gdzie suną zakochane pary, gdzie handlarze i sprzedawcy zachwalają swój towar, gdzie ładnie świeci słońce, gdzie jadą moi koledzy na rowerach, i dokąd nie wolno mi wyjść.

Ha, trudno. Trzeba ponownie ładnej pogody leżeć w łóżku, mierzyć temperaturę i nudzić się piekielnie. Tak długo czekałem na wiosnę, a tu angina. Pocięszam się myślą, że niezdługo wyzdrowieję. Czeka na mnie wierny rower, żelazny rumak, gotów na moje rozkazy, tenis i wiele innych przyjemnych sportów.

Wiosna rozpoczęła już swe panowanie. Kwiaty w ogródku, na podwórzu kielkują już. Świat pokrywa się zielenią. Słońce coraz mocniej przygrzewa. Powietrze jest czystsze, oczywiście nie licząc kurzu z trzepanych poduszek, kołder, dywanów. No, ale ten kurz, to głupstwo. Tego nie bierze się pod uwagę: grunt, że jest wiosna.

Nad nami, na drugim piętrze,

pani zawzięcie brzdąka na pianinie z uciechy wiosennej, a mnie głowa coraz bardziej boli. No, ale to głupstwo: grunt, że jest wiosna.

Mój ping-pong — w stanie spoczynku. Właściciel jego choroby. Zresztą chory, czy zdrowy, i takby nie grał. Wiosna zapowiada wycieczki do Młocin i na Bielany. Trzeba czempredzić pozbyć się tej bezwstydną anginy, trzeba być optymistą. Ze angina jeszcze nie pozwala wyjść z łóżka, to nic. Wiosna ją przeżyje.

Ptaszki wesoło ćwierkają. Kwiaty rozchylają niepewnie swe kielichy, wszystko odnawia się i przemija, i choroby także. Świat jest jakby odrodzony.

Rok rocznie przychodzi wiosna, przybrana pachnącymi kwiatami. Z pekiem różnobarwnych bratków i fiołków. W koszyczku niesie inne wiosenne kwiaty. Rozczuca je po polach i po łąkach. Trzeba ją powitać. Już wstaje.

Stasiak P. P. S. Bardzo przepraszam za kleks na pierwszej stronie, ale jak ten list wkładałem do koperty, jeszcze go nie było. Rece mi drżały. Wiosna, panie — to wiosenne kleksy.



Cóżeś ty za pani?

Słusznie ktoś zauważył, że wiosna pachnie węgarami. Rzeczywiście, jak można siedzieć w budzie i słuchać nudnych belfrów, gdy za oknem słońce mruga do nas tak zachęcająco i porozu miewawczo.

Umówiliśmy się raz z kolegami na następny dzień do lasu. Nazajutrz rano spożyliśmy się z trzema radośnie uśmiechniętymi kolegami i w świetnych humorach, z teczkami pod pachą, wyruszyliśmy w drogę. Chłopcy pogwizdywali, dokazywali, a jeden dął się na całe gardło: „Waga-

wlepi z zimną krwią. Czy wiosna zbliży narody? Czy Niemcy zrozumieją potworną głupotę swej teorii nordyckiej? Czy przyzna się wszystkim prawo do życia, do nauki?

Napewno nie. Ale na wiosnę w to wszystko chce wierzyć. Mocniej, pewniej bije serce i jaśniej oczy. Przybija się do walki o ukochany cel. Wezbrała pierś oddycha czystym powietrzem i dążeniem.

Dlaczego tak się dzieje? Ot, drobniostka: słońce pada ciepłą, złotą smugą na podłogę.

Gdzieś w dole szumi, kipi, wre miasto.

Jest wiosna.

OLEK R.

ry, to sztabacka nuta, węgarmy, to uczniowska rzecz!...

Po półgodzinnym marszu przybyliśmy do lasu. Ulokowaliśmy się wygodnie na trawie i wyjęliśmy z teczek nasze śniadania, które naiwne mamusi zapakowały nam do szkoły. Po śniadaniu zaczęliśmy się bawić.

Godziny szybko mijają i niestety, trzeba było wracać do domu. Słyszymy wesoło, rozmawiając przy akompaniamencie chłopców, którzy śpiewali: „Pan profesor pyta, czy umiem ja rachować” i t. d.

Nazajutrz w szkole zauważyliśmy z przerażeniem, że przełożona patrzy na nas ze zem. Scisnęły się serca nasze w bolesnym przecuciu.

Rzeczywiście zaraz po pierwszej lekcji przełożona majestatem krokiem weszła do klasy. Z mowy jej i spojrzenia, mrozącego krew w żyłach, przeczużyliśmy nadciągającą burzę.

Przełożona chrząknęła i zaczęła mówić:

— Kto wczoraj był nieobecny?

Nogi pod nami się ugięły, zimny pot wystąpił na czoło. Wstałyśmy.

Przełożona obrzuciła nas wladczym spojrzeniem.

— Widziano was — zaczęła, ce-

nie wszystko to, o czym się myśli i co się czuje, można powtarzać i opisywać, bo nie wszystko nadaje się do powtórzenia. Istnieją myśli piękne i wzniosłe, istnieją myśli brudne i niskie, istnieją walka złych myśli z dobrymi, i myśli takie, których nikt nie zrozumie, bo są wytworem indywidualnej wyobraźni i umysłu.

Czasami rozum usiłuje zastanowić się nad takimi zagadnieniami, jak np. w jakim języku myśli głuchoniemy? I zagadnienie to pochłania uwagę i nie daje spokoju. Niemądre zagadnienie, a jednak każe się nad sobą zastanawiać. I takich myśli jest dużo. Rozproszkownia one umysł i nie pozwalają zastanowić się nad sprawami poważniejszymi.

Jeżeli idzie o mnie, to nigdy nie umiem skupić swoich zainteresowań na jednym punkcie. Ostatnimi czasy myślałam o tem, że nie dostane promocji, że iade latem kafakiem do Jidy, że studenci zrobili świątwno z dziekanem Haudelmannem, a teraz myślę o tem, że jest wiosna, że chętnie pobiegła fikać kozły na trawie, że nie nauczyłam się dzisiaj wiersza łacińskiego — i wybierz teraz, co cię tu, człowieku, najbardziej interesowało.

Zasadniczo, to jest to wina wiosny, która zupełnie omotała rozum. Nie wiem, czy to tak na wszystkich, ale na mnie działa ona bardzo.

Wiosna! Kocham ją za to, że jest wiosna, że przynosi piękno, że sama jest młoda i piękna...

Wyczuwam jej zapach jeszcze wtedy, gdy leży śnieg na podwórku i śniegiem wydeptana jest ścieżka...

Już wtedy śmieją się ze mnie, gdy mówię, że „pachnie wiosną”.

Później śniegi topnieją, słońce zaczyna przypiekać, a w Saskim Ogrodzie robi się błó-

dząc każde słowo — wczoraj w godzinach szkolnych z chłopcami.

Wyraz ten odpowiednio zaakcentowała. Struchlałyśmy, a przełożona ciągnęła dobitnie:

— Weźmiecie teraz teczki i pójdziecie do domu, a jutro bez matek do szkoły nie przychodźcie.

I podnosząc tryumfalnie brew do góry, wyszła z klasy. Oddechaliśmy.

Spakowałyśmy manatki i wyszłyśmy pokornie. W bramie sztuby stoją nasi towarzysze niedoli, lecz wcale zadowoleni, jakby nawet solenizanci.

Zbliżyli się:

— Wylano was z budy? Nas także. Fajnie, bo akurat miała być klasówka z łaciny.

Spojrzyliśmy po sobie i naraz wybuchnęliśmy śmiechem. Na dworze było pięknie. Jeden

to... Wtedy ziemia pachnie, właśnie zapachem wiosny.

Człowiek tak się czuje, jak gdyby zmienił duszę, coś się topi, coś rośnie i jest tak jakoś dziwnie, tak wesoło i tak przyjemnie.

Chciałoby się usiąść z cyklem wiosennych wierszy Wierzyńskiego na balkonie i nie słyszeć, jak służące biją mięso na bełszyki, ani jak synek stróża bawi się w wojsko, ale utonać w poezji i w wiosnie, i patrzeć w odsłonięta zasłone nieba, i marzyć o niczem, o wszystkim...

A później raptem zazielenia się kasztanowce w parkach, wyjada nianki z różowemi dziećmi w wózkach, zaroją się aleje i otwarte kawiarnie, pokrzęzą się kwiaty... Wylegnie na ulice różnobarwny tłum brudnych i obszarpanych lepi w rynsztoku bałki z błota i tańczące w kurzu ulicznymi! O puszcza duszne latem, zimne zima izby, gdzie roily się całymi chmarami, przez osiem miesięcy...

Poszłam na cmentarz. Tam też była wiosna. Bezczelna w swojej wesołości, oświetlała nieśmiertelniki na kamiennych grobach, jeszcze piękniejsza tam, niż na ulicach.

Wyszłam na ulicę. Ulica kroczył pogrzeb. Pomyślałam tylko: musi być nieznośnie gorąco tej pani w żalobie na twarzy...

A jednak, pomimo wszystko, jest wiosna!

Jest! I nikt nie może zaprzeczyć jej królowania. Jest. I wywiera wpływ na nasze myśli, każe o sobie myśleć i wyściska swe piękno na naszych poczynaniach.

I dlatego kocham wiosnę, bo każe ci chaotycznie myśleć, bo mi pozwala ogarnąć cały świat w jednej minucie myślenia.

A n e r i.

z kolegów zadarł głowę do góry i zaśpiewał bohaterskim tenorem:

„Wiosenko, wiosenko, cóżeś ty za pani!”

Ocknęliśmy się. Obrazy znikły. Siedzieliśmy na straszliwie nudnej lekcji matematyki. Do klasy wpadały złote promienie słońca. Jedne uczniowie wygodnie drzemały, drugie wpatrywały się z tęsknotą w okno, inne czytały gazety. Nauczycielka automatycznie kiwała się na krześle. Przy tablicy uczenica ziewając, rozwiązywała przykłady algebry iczne.

Za oknem panowała wszechwładnie wiosna.

Stella i Ziuta z Kielc.

REDAKTOR WSIĄKŁ

My, weterani i jubileci Małego Przeglądu, jesteśmy już, jak te rzadkie komety. Zjawia się, zabłyśnie, a potem znika. Przechodzą nami interesować, gdyż zaczynamy się powtarzać.

A jeśli od czasu do czasu wydrukują nasz artykuł, to nikt nie wie, ile my przedtem musimy wysłuchać od redaktora obrzydłych moralizacji i hańbiących aluzji, że „taki za pozwoleniem koni, miast młodszym święcić przykładem, sam coraz bardziej chodzi trawersem”, że Dziunia, Abramek i inne cudowne dzieci lepiej piszą. Od nas, wdzięcznie, wymaga się głębokiej myśli, wytwornego stylu, żywej treści — bośmy weterani.

Po każdym takim artykule gramy marsza żałobnego, myślicząc, że to już nasz ostatni występ na szpaltach Małego Przeglądu. Zastępują nas nowe siły. A my starzy (jeszcze siwych włosów nie mamy ale golić, golił się co trzy miesiące), musimy ustępować i szukać nowych rynków zbytu.

W Warszawie, a nawet w Polsce, niema takiej trybuny dla dzieci i młodzieży, jak Mały Przegląd. Wychodzą wprawdzie różne dodatki tygodniowe, które w istocie są tylko karykaturami pism dla młodzieży.

Do jednego z takich pism skierowaliśmy nasze kroki. Przeczytaliśmy przedtem, że redaktor przyjmie w soboty między 11—1 pp.

Dreptałmy pełni dobrych myśli, nadziei i planów na bliską przyszłość. Fiszel wyobrażał sobie redaktora, jako postać według jego słownika archaizyczną (słowa tego ani ja, ani Fiszel dotychczas nie rozumiemy) Leon natomiast sądził, że redaktor podobnego pisma powinien mieć angielskie bokobrody, fan-

tazynie zawieszona kokarde i papierośnice, pełną oryginalnych egipskich.

Na głównych drzwiach dyndał metalowy szyldzik: „Wejście do redakcji od tyłu, od kuchni, klucz u dozorczy”.

Gdy weszliśmy do kuchni w rodzaju stróżówki, uderzył nas zapach, przypominający próbną atak gazowy na Warszawę. Od kuchni do właściwej redakcji prowadzi ciemny, ślepy korytarzyk w rodzaju myślicznych nor w średniowiecznych zamkach. Po kilku minutach pukania, usłyszeliśmy zgrzyt klucza i tubalny głos „entrer” (wymówione było tak, jak się pisze).

— Czy mamy przyjemność mówić z redaktorem dla młodych?

— Przyjemności takiej nie macie.

— A, proszę pana, kiedy jeszcze niema 1-ej, dlaczego redaktora niema? — pyta nieśmiało Fiszel.

— Bo go niema i basta.

— Kiedyż będzie?

— We wtorek, — odburknął legmatyczny, tubalno-grobowy bas.

Z ledwością wydostaliśmy się z tej myślicznej nory i nabraliśmy w płuca świeżego powietrza.

We wtorek znów poszliśmy do redakcji w stróżówkę. A nuż — widelec nas przyjmą.

Tym razem przyjął nas młodzieniec, który zaczął z nami taką rozmowę:

— Z kim mam przyjemność?

— Leon Geerge i Fiszel Ka.

— Bardzo mi miło — odpowiada ochryply głos.

— A z kim my mamy przyjemność? — pytamy zaciekawieni.

Bąknął niedbale nazwisko, jak to zwykle czynią ludzie znani. Domyśliliśmy się — to on!

— Nareszcie spotkaliśmy pa-

na. Tyle latania i straconego czasu, a przysłówie mówi, że czas, to pieniądz.

— Za kogo panowie mnie biora — pyta młodzieniec.

— Jakiż za kogo? Przecież pan jest redaktorem młodych!

— Ależ skąd, ja tu jestem tylko woźnym — odpowiada domniemany redaktor ze smutkiem i żałością w głosie.

Leonowi zsunęły się okulary o 3 cm. niżej ustalonego miejsca, a Fiszelowi podniosła się prawa brew i zachrobotała lewa szczeka, jak po gorącym kartofiu.

— A czy wogóle jest redaktor? — pytamy się, jakając.

— Redaktor wylechał.

Leonowi wyrwa się: „niech mu ziemia lekka będzie i niech go mój dziadek do siebie zabierze”.

Minął tydzień. Znów staliśmy pod drzwiami, słuchając. W pokoju rozlegał się rytmiczny trzask „Remingtona”. Zapukaliśmy. Otworzyła nam anemiczna maszynistka o długich palcach i krogulczych paznogiach uwiecznionych żałoba.

— Jestem osobą sekretarką redaktora — oznajmiła niezapytana cieniem, piskliwym głosem, przypominającym głos Baby Jagi ze sztuki „Dzieci podwórka” Janusza Korczaka.

— Bardzo nam miło — odpowiadamy, śląc się na uśmiech, który u Leona przybrał maskę Frankenstein, a u Fiszla cieleńczego zachwyty.

— Ale my chcieliśmy mówić z redaktorem we własnej osobie.

Sekretarka straciła na mimie i spuściła z tonu.

— W jakiej sprawie panowie? — pyta z uczuciem smutku w głosie.

— To jest sprawa osobista,

proszę pani i nie powinno to pa nią obchodzić — pouczał Leon — Redaktor każdej gazety przyjmuje niekiedy takich osobników, jak my, i w takich sprawach, o których porządna parnia nie powinna wiedzieć.

Sekretarka zachnęła się, zmierzyla nas od stóp do głów, i odstąpiwszy parę kroków, próbowała pozbyć się nas.

— Sprawy osobistych redaktor nie załatwia w redakcji.

— W takim razie jest to sprawa formalna, którą tylko pan redaktor może załatwić.

— Panowie będą łaskawi udać się do drugiego pokoju.

Łaskawie udaliśmy się do pokoju z napisem: „Redaktor naczelny — bez pukania nie wchodzić”. Zapukaliśmy i na zaproszenie „owszem”, z pietyzmem otworzyliśmy drzwi.

Przy ogromnym biurku redakcyjnym siedział dobrze znany nam młodzieniec i pił herbatę.

„Mały Przegląd” z dnia 2.11

— Najlepszy tytuł! 33 literki małe i 2 duże! Razem 18 złotych 50 groszy!

— Widzisz, że nie buja!

— Zarobiłaś.

— Zarobiłam! — powtarzam z dumą.

— Przedewszystkiem nie „Oaza”, ale „Tabarik”. Nie Miriam Tobiasz, ale Sara Rajgrodzka.

— Ha, ha, ha! „Wyniosł ją na pęczniały tłum!” Po niebiosach buja! Na własne oczy widziałam, jak ostrożnie schodziła, liczyła każdy schodek! Ale udana.

— Gothelf najważniejszy, to go nie wymieniła.

— Zaco wiać wie dostałaś?

— Za najodpowiedniejszy tytuł do mojego artykułu.

— To się oplaca.

— Też mądrość! Nawalać za nic tyle forsy!

— Nie mogłaś wytrzasnąć dłuższego tytułu?

— Co to ma znaczyć? — zapisał groźnie Fiszel. — Czy jest sens...

— Niema esencji, — ponuro odparł młodzieniec. — Pię czy sta z cukrem.

— Nie o herbatę nam chodzi, a o redaktora. Gdzie redaktor?

— Dziś nie przyjmuje.

— Panie, mów pan po ludzku, bo... — i Leon spojrzął wymownie na marmurową suszkę.

— Pytam się: gdzie redaktor?

— Redaktor wsiąkł. Panowie rozumieją: wiosna...

Wróciłiśmy do własnej redakcji. Na wypadek, gdyby i nasz redaktor wsiąkł, zawiadamiamy: przyjmujemy interesantów w przedpokoju Małego Przeglądu co niedziela m. 4—5. Zaznaczamy przytem, że Leon jest specjalistą od wykolejenia i bezrobocia. Fiszel zaś potrafi poruszać kwestie gwoździków w butach i tynkowania lic niewieścich. FISZEL I LEON.

— Mójby mniej, niż pięćdziesiątka nie kosztował.

Poczta. 18 zł. 50 gr. 10 groszy schodzi. Na odcinku — kilka serdecznych słów. Dla niego to ma być ciężka kara!

Już minął, o mamusiu, złoty okres owocnego narzucania mi głupstw!

Czarna cyfra w kalendarzu obramowana kłamra. Pamiętny dzień.

Radość nie śpi — ale skrycie. Myśli nie śpią — tylko w sobie. Chcą wołać, drzeć się na cały świat: cieszyć się ze mna! Pierwszy zarobek!

Myśli są spokojne.

Pierwszy zarobek nie odebrał zasłużonego mu honoru. Matka bynajmniej nie zaprzestaje narzekać, wymagając posłuszeństwa, i neliłościwie gościć do matematyki. Ojciec po swoim złośliwie medrukuje.

Koniec tygodnia. Cisza.

HALINA (Łódź)

RITA

Kraśniak

Odrzuć sprzedam was, mieszkańcy innych miast, że nie będę mówiła o zabytkach Warszawy, bo w większym lub w mniejszym stopniu są wam znane. Ale, czy życie wielkomiejskie jest godne uwagi tylko w restauracyjnych dzielnicach?

Opowiem o ogrodzie Kraśniak, o tym ogrodzie, który niczem napozór nie wyróżnia się ale który posiada w sobie tyle prawdziwego życia.

Miły Kraśniaku! Prawda, że nie należysz do rzeczy, które mi, warszawianie, szczytnym się. Ale polubiłam ciebie mimo twego nieszczęśliwego zewnętrznego wyglądu. Do twoich ozdób należy banalny staw z białymi łabędziami i klomb, znajdujący się tuż przy pałacu Kraśniak. Dla dzieci zaś największą atrakcją stanowi pagórek i t. zw. ogródek dziecięcy, w którym zimą jest ślizgawka.

Dlaczego piszę właśnie o Kraśniaku? Przedewszystkiem dlatego, że my, korespondenci Warszawscy, w przeciwieństwie do mieszkańców prowincji, mało mówimy o naszym mieście. Powtórze chciałabym podzielić się z wami spostrzeżeniami i wrażeniami z roku, kiedy codziennie bywałam w Kraśniaku.

Do pierwszych przechodniów, którym przyjrzałam się bliżej, i do jakich zresztą sama się zaliczałam, należała młodzież szkol-

na. Kraśniak bowiem łączy dzielnicę, gdzie jest najwięcej gimnazjów żydowskich. Sztuba przed cina ogród szlakiem Nalewki — Święto - Jerska i Nalewki — Plac Kraśniak (innych wyjść niema). Uczniowie znają się tu już „z widzenia”. Każdy mniej więcej wie, do jakiej budy drugi uczęszcza. Codziennie rano mijaliśmy znajome twarze.

Zrana uceń nie sprawia miłego wrażenia. Wielu wygląda na złych i niewyspanych. Odrzuć po nosie poznać, czy biedak na dzisiaj odrobił lekcję. Wogóle można w przybliżeniu skonstatować niechęć pojedynczego osobnika do instytucji, jaką jest buda.

Przez szereg miesięcy mijali mnie codziennie dwaj chłopcy. Podchodzili do automatu i stosunkowo długo przeglądali się w lusterku. Bardzo mnie to raziło. Dziewczyny, jak dziewczyny, ale lustrujących się chłopców nie znoszę.

Nie dziwiło mnie wcale, gdy przy wyjściu styszałam za sobą głośne wymyślanie. Przyzwyczaiłam się do tego. To starszy brat wymyśla małemu, że przez niego stale się spóźnia. Powtarzało się codziennie i zawsze przed bramą wyjściową.

Przypomniało mi to, że istotnie jest już późno, więc przyspieszałam kroku. W pośpiechu potrącałam dwie, może dziesięcioletnie, dziewczynki jednakowo ubrane i

bardzo do siebie podobne. Chyba bliźnięta. Pewnie bardzo się kochają.

Jestem w Kraśniaku i czekam na Bronkę. Zawsze się tutaj umawiamy. Przez ogród przechodzi kilka nianiek z dziećmi w wózkach. Najbardziej aktualnym tematem rozmów są „jaśnie państwo”.

— Moja pani, to bardzo mądra i inteligentna kobieta — odzywa się jedna, znacznie starsza od pozostałych.

— Dlaczego?

— Ładnie się ubiera, ma futro a przedewszystkiem pieniądze. A pieniądze trzymają się tylko mądrego, zdolnego człowieka — mówi z przekonaniem.

Zaczyna się plotkowanie i obgadywanie pracodawców. Jedna, bardzo młoda, twierdzi, że sam panicz chciał się z nią ożenić, tylko ona nie chciała. Pozostałe spoglądają na nią z powątpiewaniem.

Rozmowę od czasu do czasu przerywa płacz dziecka, które upomina się o swoje prawa.

Gdy kiedykolwiek staje mi przed oczyma Kraśniak, zawsze myślę przedewszystkiem o dzieciach, które przychodziły tu bawić się. Bardzo często przyglądałam się tym zabawom. Jedynie spokojnie zachowują się dzieci, będące w towarzystwie dorosłych. Zajmują zwykle ławki „przy klombie”. Grają w komórkę do wynajęcia lub w piłkę. Do rywczo przyglądają się łabędziom w stawie. Większość dzieci stanowią małe, nieokrzesane chłopcy z żydowskiej klasy robotniczej i białej chederowcy. Tu wszyscy oni czują się swobodnie. Zakazów jest bardzo mało i

dorośli nie wtrącają się. Wprawdzie Ogród Saski jest o wiele ładniejszy, ale tam są dzieci zamknięte, więc bieżniejsze wolą usuwać się aby nie odczuwać dzielącej ich różnicy. Kraśniak posiada ich zdaniem jeszcze zaletę, iż mogą mówić po żydowsku i robić, co im się podoba.

Ulubionym miejscem zabaw jest pagórek. Posiada wielki urok dla dzieci chociażby dlatego że w innym ogrodzie go niema. Wbiega się, nawet bardzo nisko i potem zbiega się. Sama kiedyś również tem się zachwyciałam. Kraśniak był moim pierwszym miejscem zabaw, miejscem, do którego pozwalano mi samej chodzić. Dzieci spotyka się również w małym ogródku. Bawią się dziko i często się biją. Najdziwniej zachowują się chederowcy. Z byle czego są uszczęśliwieni. Cały dzień siedzą zamknięci w dusznych pokojach. Ich zabawa trwa krótko. Jeszcze jedno spojrzenie, rzucone na ogród i już biegną do chederu.

Była późna jesień. O tej porze poraz pierwszy poznałam bliżej Kraśniak. Przychodziłam z Bronką. Wracając ze szkoły, zegnaliśmy się przed wejściem od strony Nalewki. Zazwyczaj kończyło się na godzinie conajmniej pogawędce w ogrodzie. Kraśniak wówczas pustoszł. Stawało się zimno. Wiatr z każdym dniem coraz bardziej ogalał drzewa. Ludzie deptali po pozostłych liściach i nikt nie troszczył się o to, że jednak one żyły, jak my te raz żyjemy.

Koleżanki pragnęły zimy. Tak, ślizgawka i wakacje. Młodzież szkolna, przechodząc rano przez ogród, wyglądała, kiedy zaczyna-

się przygotowania do ślizgawki. Przecież Tow. Makabi corocznie urządza w Kraśniaku własne lodowisko. Praca posuwa się naprzód. Sztubacy liczą dni na palcach. Niecierpliwą się porządnie. Wreszcie uroczyste otwarcie. Dziewczynki opowiadają, jak to było pierwszy raz na lodzie. W klasie stawały się popularne uczennice, które mogły pochwalić się jazdą figurową.

Po gwarze i szumie Nalewki, Kraśniak sprawia miłe wrażenie. Moim zdaniem, nigdy nie jest tak ładny, jak zimą. Wszędzie białe. Po całym ogrodzie rozbrzmiewa muzyka i śmiech młodych. Dzieci jeżdżą sankami. Czynią to w miejscach mniej uczęszczanych, tworząc tor sa-neczkowy. Obok mnie przechodził uczeń i uczennica. Dzwonią tyżwami. Jadących na lodzie obserwuje grupa widzów za ogrodzeniem. Przy pokazie lub przy zawodach Makabeuszy w hokeja, wzrasta ona do okazałej liczby. Są tu dorośli, młodzież i dzieci. Słowem ci wszyscy, którzy chwilowo lub wogóle pozbawieni są tego sportu i rozrywki. Wszyscy przyglądają się ze skupieniem jeżdżącym młodzie. Padają uwagi. Ten ledwo utrzymuje równowagę na lodzie. Tamten ślicznie robi pistoleta. Jakiś grubas uparcie twierdzi, że gdyby on wszedł na lód, od razu potrafiłby zatańczyć na tyżwach. Syją się żarty i docinki. Dwaj chłopcy sprzeczą się o to, komu łatwiej utrzymać się na lodzie, wysokiemu, czy niskiemu.

W RESTAURACJI

A więc straciłem posadę... To, czego się najgorzej obawiałem, przyszło w końcu... Wróciłem do domu przygnębiony. Co dalej począć? Pomyślałem o motach skrzypca. Może zrobić z nich użytek? Ale teraz jest „martwa pora“, bo wszyscy są na letnisku. W lecie, jeśli się nie ma roboty, idzie się na plażę.

Węc całymi dniami przesiadywałem na „dzikiej plaży“, która nie jest znów tak dzika, jak o niej gadają. Ale w domu było coraz gorzej. Jak się ratować? Co robić?

Pewnej soboty przyszedł do mnie kolega, który znajdował się w takim samym mniej więcej położeniu, co ja, i mówi:

— Ja, tak samo, jak ty, nie mam grosza przy duszy. Jeśli chcesz palić papierosa, muszę się kłócić z matką, żeby mi dała kilka groszy. Poca mi to wszystko? Weźmy skrzypce i pojedźmy do jakiejś restauracji, gdzie niema muzyki.

O godzinie 2-ej poszliśmy. Przychodzimy do knajpy na Oko powej. Patrzymy, siedzą goście i piją. Jeden gość od razu krzyczy:

— A, muzykanci są! Macie tu złotówkę, i zagrajcie mi jakąś fajną polkę, ale tak, żeby mnie aż podniosło pod sufit!

Wyjmujemy skrzypce i gramy polkę „Stare miasto“. A tego aż podniosło. Chwył kelnerkę i zaczął z nią tańczyć. Kiedy skończyliśmy, gość odzywa się do nas:

— No, muzykanci, chodźcie, napijcie się z nami.

Podeszliśmy, wypili, zakąsili porządek i znów gramy fox-trot. Zarobiliśmy kilka złotych. Przysiołwie muzykankie mówi: „aby tylko zrobić dobry początek“. O godzinie 11-ej podzielił się zarobkiem, na każdego przypadało 4.75 gr.

Od tego czasu coraz częściej zaczęliśmy chodzić do restauracji. Najlepsze zarobki są między 15 a 15 każdego miesiąca, w sobotę i w niedzielę, kiedy robotnicy otrzymują wypłatę.

Różni są goście w restauracjach. Jedni każą grać i grać, a później wyjmą za to 50 groszy. Najlepsi goście, to pijani. Taki piaci za każdy zagrany kawałek. Miałem już kilku takich gości, jeden dał mi nawet 20 złotych. Dwóch wyjęło raz całe garści pieniędzy i mówią:

— Macie muzykanci 20 groszy i grajcie marsza żałobnego.

Powiedziałem:

— Panie majster, za 20 groszy nie możemy grać!

Węc dolożył jeszcze.

Pewnego dnia przychodzimy do jednej restauracji w gości, bo grał tam nasi znajomi. Patrzymy, a ich niema i nikt nie gra. Pytamy właścicielki, dlaczego nie przyszli, a ona mówi, że byli tacy i tacy, i że im wymówiła. (Później dowiedziałem się, że dostali lepszą knajpę).

Powiadamy więc do właścicielki, że my możemy tu grać.

— Dobrze, możecie grać na takich warunkach: chce, aby grały cztery osoby — pierwsze i drugie skrzypce, jazzband i mandolina. Mogę dać dwa złote i kolację.

— Zamiast mandoliny damy wiolonczelę.

Zgodziła się. Szukaliśmy jazzbandzisty pół dnia. Za 50 groszy i kolację nikt nie chciał pojsć. Nareszcie znaleźliśmy jednego starego, który zgodził się po długim namowaciu.

Wieczorem przyszedłmy w pełnym komplecie. Kolega i ja graliśmy na skrzypcach, mój dziadek na wiolonczeli, no i jazz huczał.

Ponieważ było to w poniedziałek, więc mieliśmy małe dochody. Po kilku dniach właścicielka zaczęła narzekać, że nie może grać dwóch starych, to znaczy dziadek i jazzbandzista, żeby koniecznie zamiast wiolonczeli wyszukać mandoliny.

Wyszukaliśmy polskiego chłopaka, który trochę grał na mandolinie. Graliśmy z nim w sobotę i w niedzielę. W ciągu tych dwóch dni było dużo gości. W sobotę mieliśmy po 12 złotych, w niedzielę po 7.

Ale nasz mandolinista, widząc że jest nam potrzebny, powiedział:

— Jak tu nie będzie grał mój cały komplet, z którym jestem zgrany, to nie chce grać.

I nazajutrz, nie pytając nas, przyprowadził swój „komplet“, a właścicielce swoich trzech chłopaków. Jeden grał na banjoli, drugi na gitarze, a trzeci śpiewał i grał na cytrze. Było nas więc razem 7-miu. W takich warunkach nie chcieliśmy grać. Powiedzieliśmy właścicielce, a ona na to:

— Nie chcecie, to oni sami będą grać!

Na drugi dzień nie zjawiliśmy się. Przychodzimy w oświeczony w niedzielę, a tu nikt nie gra. My tymczasem znaleźliśmy już „mądrego jazzbandzistę“ i mandolinę. Z nimi graliśmy kilka tygodni. Zarabiamy jako tako.

Przez ten czas przewijali się różni goście. U jednego gościa zarobiliśmy raz 15 złotych. Drugim razem przyszło znów trzech i kazali grać „Międzynarodówkę“. Powiedzieliśmy, że tego nie wolno grać. Wtedy zaczęli w nas ciskać butelkami. A ponieważ skrzypek stoi pierwszy, więc dostałem taką butelkę.

Kilka razy przychodzili i zapraszali nas do domu (na wesela, koncerty, zabawy). Gdy przyjmowaliśmy te zaproszenia, właścicielka była bardzo zła. Po kilku tygodniach podwyższyła nam

„gażę“, bo dodała jeszcze złotówkę.

Pewnej soboty wypadło tak, że musieliśmy pojsć na wesele żydowskie. Na tem weselu dobrze zarobiliśmy. Ale właścicielce głównie zależy na sobocie, bo jest wypłata. Jak jest muzyka to gość więcej zje i wypije, a wtedy ona więcej zarabia.

Tak więc, gdy wróciliśmy z wesela, w restauracji grali już inni. Znamy ich, jako grajków podwórzowych.

Ale nam już mało zależało na tej knajpie, bo rozpoczął się karnawał. W karnawale grałem na różnych balach, wieczorkach i wesołach. Starczy mi z dziadkiem do lata, a latem ptaki i muzykanci żywią się słońcem i darami natury.

Z poważaniem
Ignacy — dawniej Icek.

15-go kwietnia upływa termin nadsyłania prac

KONKURS RYSUNKÓW KONKURS LITERACKI

(Nowela, wiersze, humoreski, powieść lub sztuka dla teatru szkolnego)

NAGRODY: pięć nagród po 20 zł., pięć po 10 zł. i jedna zł. 100

KINO, CZY KSIAŻKA?

Dużo ludzi sprzecza się, co lepsze: kino, czy książka?

Kto umie sobie wszystko dobrze wyobrazić, ten woli napewno książkę, a kto nie może sobie wyobrazić, temu radzę: niech idzie do kina.

Ja więcej kocham kino, niż książkę. Przeżywam wtedy wszystko razem z bohaterem

filmu. Zapominam o swoich zmartwieniach i z ciekawością czekam, jak się obraz skończy: wesoło, czy smutno.

Dzięki filmom można zobaczyć i poznać wiele krajów, zwierząt i roślin. Uważam, że z kina mamy większy pożytek niż z książki. A jak wy, czytelnicy, myślicie?

Bolek z Smoczeń.

SIOMA z OTWOCKA.

Wozem z Ukrainy do Polski

Urodziłem się w roku 1919 w Charkowie, lecz niedługo tam mieszkałem, gdyż rodzice przeprowadzili się do małego miasteczka ukraińskiego.

Były to czasy narodzin władzy sowieckiej. Co miesiąc prawie miasteczko zdobywała jakaś armia — gen. Denikina, Wrangla, lub któregoś z licznych wówczas atamanów zielonych, czyli partyzantów. Bolszewicy uciekali, by po pewnym czasie, ściągawszy większe siły, przepędzić tamtych. Oczywiście, najgorzej na tem wychodziła ludność miejscowa, bo każda nowa władza zaczynała panowanie od rozstrzelania osób podejrzanych i nakładania daniny na całe miasteczko.

Sam tego nie pamiętam, ale z opowiadań rodziców wiem to tak dobrze, że czasami zdaje mi się, iż widzę te czasy, i wydarzenia, i ludzi, i ten las ciemny.

Rodzice moi mieli już dość czerwonych, białych, zielonych i czarnych anarchistów. Postanowili wyjechać do Polski.

Ojciec znał naczelnika stacji, który za pewną sumę „sprzedał“ mu wagon towarowy. To była wcale uczciwa transakcja, bo kolej należała wtedy do wszystkich władz i obywateli. Wszyscy żądali, aby ich wożono za darmo, a naczelnik stacji musiał żywić siebie, dwie dzieci, maszynistę, ślepa wieźniarkę i b. kasiera.

Wagon nasz przewieziono do pociągu wojskowego. Jechaliśmy 36 godzin przy akompaniamencie dzikich śpiewów i ordynaryjnych żartów żołnierzy.

Na stacji przy wysiadaniu próbowano nas okraść, ale ojciec w czas zdołał pochwycić rabusia.

W dalszą drogę nie mogliśmy ruszyć, nie mając wozów. Rodzice postanowili udać się do znajomego młynarza, który mieszkał niedaleko stacji. Matka wzięła mnie na ręce i wraz ze znajomą poszła do młynarza, a ojciec i wujek zostali na stacji przy rzeczach. Wpierw czuwał ojciec, potem wujek. Wujek, zmęczony wartowaniem, poszedł do strumyka, przepływającego w pobliżu, rozbrajał się i wszedł do wody.

Wtem przybiegł żołnierz sowiecki i zażądał dokumentów. Wujek nie miał przy sobie żadnych papierów. Przypuszczając, że młynarz jest znany w okolicy, zaproponował żołnierzowi, aby poszedł z nim do młynarza.

Nie pomogły żadne znajomości. Żołnierz uporczywie żądał dokumentów. Matka zdołała się na odwagę i pokazała nasze fałszywe paszporty. Żołnierz spostrzegł, że są fałszywe, i chciał wszystkich zabrać do czereszowiczajki, aby tam nas wylegitymowano. Po długich błaganiach i targach zwolnił nas, ale zabrał wszystkie pieniądze rodziców.

Tymczasem ojciec pilnował na stacji bagażu i o niczem nie wiedział. Młynarz wysłał wóz po rzeczy i po ojca. Rzeczy przykryte sianem ojciec z furmanem siedli na sianie i tak pojechali.

Nazajutrz młynarz dał dwa wozy i przewodnika. Odprowa dził nas konno, potem, po ser-

decznem pożegnaniu zawrócił. Furman, dzielny chłop rosyjski, trudnił się przemytem. Był to człowiek uczciwy i przyjemny. Przez całą drogę opowiadał o swoich przygodach. Rodzice wierzyli w jego zrzeczność i spryt.

Spoczątku jechało się stepem. Upał był straszny. Wieczorem ochłodziło się. Powoli zmienił się także krajobraz. O północy wiechało się w gęsty las. Do samego rana wszyscy odpoczywali pod drzewem, a o świcie znów wyruszyli w dalszą podróż.

Dopiero po trzech dniach las się skończył. Wjechaliśmy na gościniec, prowadzący do miasteczka. U dróg rozstałych stał krzyż. Przy tym krzyżu zostawiono ojca i wujka z rzeczami, furman zaś, matka, znajoma i ja pojechaliśmy na zwładę, czy aby niema w pobliżu jakiegoś patrolu. W razie, gdyby nas pochwycono, możnaby powiedzieć, że wzięliśmy siano z łak młynarza.

Nikogo jednak nie spotkaliśmy. W szczerem polu, tuż pod miasteczkiem, stał samotny porzucony kościół. Furman zaczął, żebyśmy się schowali w siano, bo w kościele tym kryli się zbójcy, którzy napadali na uciekinierów z Rosji, rabowali ich mienie, a opornych zabijali. Widząc chłopca z sianem, przepuścili wóz.

W miasteczku wszyscy już spali. Szukaliśmy noclegu, ale nikt nie chciał nas wpuścić do swojego domu. Wreszcie jeden wieśniak zgodził się na odwagę i przelegnawszy się kilkakrotnie, otworzył przed nami

drzwi swojej chaty. Obawa jego była uzasadniona, gdyż grabowały wtedy w Rosji hordy bandytów i nikt życia swego, ani mienia nie był pewien. Po odmówieniu pacierzy zapłatał, co nas sprowadza w tak burzliwych czasach i o tak późnej porze do jego chaty. Uwierzył w odpowiedź matki, dał nam jeść i miejsce do spania.

Tymczasem ojciec dotarł do tegoż miasteczka. Wypytywał o nas, ale nikt nie mógł mu powiedzieć, że nas widział. Znalazł nas dopiero wtedy, gdy przypadkowo wszedł do chaty, w której spaliliśmy.

Mieszkał u gościnnego gospodarza dwa dni i zapłaciwszy za pobyt, puściliśmy się w dalszą podróż.

Od granicy dzieliła nas już przestrzeń nieduża, ale najtrudniejsza do przebycia, bo pilnie strzeżona przez patrole i oddziały wojskowe.

Znów wjechaliśmy w gęsty las, ale tak gęsty, że poruszać się w nim można było tylko w dzień. W nocy wyprzeżano się konie i na polanie wyczekiwało się świtu. Straszne były noce w tym lesie. Olbrzymie drzewa stały, jak wielkoludy i potwory. W mroku rozlegały się szmery jakoweś, skradanie się jakieś postępane. Nietoperz przeleci, a już wszyscy zrywają się na nogi. Sowa zapłaczę w oddali — już wszystkim się zdaje, że wywiadowca daje sygnał, że znalazł nas.

Nie wolno nam było rozpałać ogniska, ani mówić głośno, bo las ma dobrą akustykę i każdy odgłos roznosi się echem daleko.

Piątego dnia stanęliśmy nad rzeką. Niegłęboka to była rzeka, ale szeroka. Konie nie chciały wejść do wody. Zmuszono wreszcie. Poszły, ale wózek się bał. W głębokim miejscu wóz się wywrócił i wszystkie

rzeczy utonęły. Koń wyratował się.

Pojechaliśmy dalej jednym już wozem w dwa konie. Posuwaliśmy się naprzód powoli, ostrożnie, mimo to wóz kilka razy się przewrócił. Mężczyźni pracowali przy jego naprawie, kobiety siedziały ze mną, pilnując, czy nie idzie wróg.

Znajdowaliśmy się przy samej granicy. W odległości kilku kilometrów leżała Polska — kraj, w którym sprzedawano otwarcie chleb bez kartek, gdzie jest tylko jedna władza.

Przewodnik nasz znał dobrze granicę. Wiedział, gdzie jest pilnie strzeżona, a gdzie słabo. Najpierw poszedł sam na zwładę. Ciemna noc bez gwiazd ułatwiała mu zadanie. Trudno w taką noc zauważyć człowieka, który umie skradać się bez szmeru i wypatrywać, jak ryś.

Wybrał odpowiednie miejsce i wrócił po nas. Cicho, jak węże, przesunęliśmy się przez ten kawałek ziemi, który zowie się granicą. Spełniły się marzenia rodziców: byliśmy po stronie polskiej.

Pojechaliśmy do Grodna. Tu poznałszy wiernego przewodnika, który z ładunkiem pończoch i materiałów łódzkich na plecach poszedł do Rosji, by nadać uprawiać swe ciężkie i niebezpieczne rzemiosło.

Matka moja na dworcu grodzieńskim zemdlała ze zmęczenia. Odroczyliśmy dopiero w Warszawie, po dopełnieniu wszystkich formalności obydwaj rodziców.

Tak skończyła się szczęśliwie nasza podróż, która trwała trzy tygodnie.

W kilka lat potem, z listu znajomej, rodzica dowiedziałem się, że przewodnik nasz padł od kul patrolu na granicy.

Cześć jego pamięci!

ZWIEDZAMY

Parę dni temu nasza klasa wybrała się do Muzeum Zoologicznego.

W pierwszej sali zobaczyliśmy szkielet słońca i żyrafy w całej okazałości, dwa olbrzymie żubry z Puszczy Białowieskiej. Teraz jest ich w Puszczy zaledwie kilka sztuk, choć jeszcze przed wojną było 750. Przebywają w ogrodzonym rezerwacie pod opieką, żeby do reszty nie wyginęły.

W tej samej sali stoją dwie dzikie świnię na biegunach z małami. W głębi rognęły: jeleni, sarna, łos.

Idziemy dalej. Następną pięć nie oglądaliśmy dokładnie. Rzuciwszy okiem spostrzegłam

różne ryby, żaby, jaszczurki i inne wstępne potworki, których połów napewno nie był przyjemny.

Muzeum słynie z bogatej kolekcji ptaków (około 2.000 okazów), które oglądaliśmy w specjalnych salach.

W przyległej salce są kolekcje owadów, od najdrobniejszych do największych. Z gryzoni widziałam susła, wiewiórki pospolite, świstaki, bobra i różne gatunki myszy.

Wycieczkę tę zaliczam do najbardziej interesujących i bardzo wszystkim, aby zwiedzili muzeum tembardziej, że wstęp jest bezpłatny.

Maja.

Papiernia

W pierwszej chwili staje oszołomiona. Olbrzymia sala pełna jest kotłów, maszyn i ogromnych pieców. Huk, gwizd i hałas mogły chyba ogłuszyć. Gdzie spojrzę, widzę coś ogromnego.

Przewodnik krzyczy, wymachuje rękoma, pokazując kocioł, ale ja nie słyszę, nie rozumiem. Zato oczy moje pracują.

Widzę w olbrzymich kotłach szmaty wymoczone i gotujące się. Dalej widzę już żółtą masę — miękkie drzewo po wygotowaniu. Masa ta po pewnym czasie przemieni się w tekturę.

W następnej sali widzę świeży papier, wychodzący równo białymi płatami z pod maszyny. Część papieru zostaje zabarwiona na różne kolory. Następnie tnie się go na małe kawałeczki,

które wysyła się do fabryk czekolady i cukierków.

W tej samej fabryce wyrabia się także pudełka i gilzy. W dużej maszynie jest coś w rodzaju koryta. Robotnica wkłada do koryta niezlepione jeszcze pudełko. Wpada ono do małego jakby lochu, tam przez parę sekund zestawia się i lepią, następnie wlatuje do koryta, przejeżdża przez całą jego długość i wypada z drugiego końca, gdzie natychmiast zostaje ułożone przez drugą robotnicę na stosie czystych, gotowych pudełek.

Wychodzę z fabryki podnieceni. Zdaje mi się, że opuściłam gwarny ul i weszłam do głuchej pustki.

Tusia z Będzina.

Obóz LOPP'U

Proszę o bilet — woła kontroler.

Nie mam 25 groszy. Czekam, aż się ściemni i siu przez parkan. Już jestem w środku. W rogu stoi samolot. Podchodzę.

— Proszę nie dotykać!

— Niech się pan nie obawia. Nic nie zepsuje, zresztą co można zepsuć w tym klaku.

— No mały, nie madrz się, bo wyrzuce.

— Patrzcie no tego dużego, — mruczę pod nosem i idę dalej.

Wchodzę do namiotu. Na długim stole stoja szafki oszklone. W pierwszej znajduje się twarz ludzka z wosku. Na dole napis: „tak wygląda twarz człowieka po zatruciu chlorem”. Niezbyt przyjemny widok. W drugiej, trzeciej, czwartej... o zgrozo... prawdziwe ręce i nogi ludzkie. Nadmiar złego ręce te i nogi usiane są paskudnymi ranami, w jednym miejscu rana sięga nawet kości. Brrr. Pod spodem napis: „Rany, powstałe po iperycie”.

Dalej leżą dwa aparaty ratownicze. W kątach stoja dwa manekiny w maskach i ubraniach przeciwpierwotnych, trzy mając przyrządy do gaszenia tej gazo-cieczki. Po prawej stronie wiszą maski różnych kształtów i wielkości.

W drugim namiocie znajdo-

wały się rzeczy bardziej interesujące. Przedewszystkiem zajęły mnie bomby i pociski lotnicze. Dziwił mnie bardzo kształt jednej kilkumetrowej bomby, mianowicie przód szeroki, tył zaś bardzo wąski. Obok stały modele samolotów, latające i nie. Latające niebardzo mnie interesowały, zato na widok drugich aż zmartwiałem z zachwytem. Czegóż podobnie pięknego nigdy w życiu nie widziałem.

Blisko pół godziny oglądałem same modele, trzymające na karku ogłoszenie: „proszę nie dotykać”, i zadawał mi się myślą „nie dla psa kiełbasa”.

W końcu wyszedłem z namiotu. Niedaleko wejścia stał domek, napełniony gazem łzawiącym. Tam też skierowałem swe kroki. Biła stamtąd woń niby chrzanu, niby octu. Podszedł jeden jegomość, otworzył drzwi, powąchał i rozplakał się.

— Pani tego! Taki stary, a beczy. Jak habcicie Kocham, wstyd!

— Idź, bo cię kopnę.

Pod koniec wyświetlano film propagandowy, nawet niebrzydki, lecz nie czekałem końca, bo było już późno, a i ja się mi się chciało.

Jerzy z Bagna.

Kamieniolomy

Robotnicy pracowali na obszernym placu za torem kolejowym. Miejsce tam było śliczne, a praca trudna. Plac był otoczony pagórkami, pokrytymi kwiatami i zielenią. Za nimi z jednej strony widziało się las, z drugiej peron.

Robotnicy nie zwracali uwagi na piękny widok. Wzrok ich skierowany był wciąż na

szare odłamki skał. Przy pracy siedzieli w szeregu na ziemi. Nogi mieli omotane szmatami, co ich chroniło przed kałeczeniem się ostreimi kamieniami. Przytrzymując kamienie stopami, kilofami uderzali w nie, a czynili to tak wprawnie, że wszystkie rozłupane kamienie były prawie jednakowej wielkości.

Kiedy dużo już nabili, układali w foremce sztabki. Sztabki te odmierza się. Zapłate dostają od metra, to też starali się, by metrów było jak najwięcej.

Od pracy odrywali się tylko po to, by się posiłkować lub obetrzeć pot z czoła.

O dziewiątej wracali do do-

mów. Wyglądali wtedy tak pomuro, jak szare sztabki kamienne — owoc ich ciężkiej pracy.

Irka Gr.

Z. U. P.

Przy ul. Grzybowskiej mieści się Ziemski Urząd Pracy czyli ZUP. Wszedłem ze znajomą do poczekalni. Znajoma miała załatwić pewną sprawę w wydziale emigracyjnym.

Zostałem w poczekalni. Zwróciłem uwagę na plakaty, które wypełniały prawie całą ścianę. Treścią tych plakatów były wyjaśnienia, w jakich wypadkach bezrobotnym przysługuje prawo do zasiłku.

Na ławkach, stanowiących całe umeblowanie poczekalni, siedzieli ludzie nędznie ubrani o smutnych twarzach. Przysłuchiwałem się ich rozmowom. Okazało się, że byli to emigranci. Wyjeżdżali do Francji z nadzieją otrzymania tam pracy.

Na środku pokoju bawiło się dwoje różkosnych dzieci, chłopiec i dziewczynka.

Nawiązałem rozmowę z ich matkami. Pierwszy raz przyjechały do stolicy. Jada do Francji, do swoich mężów. Mówiły, że wołałyby tu zostać, kochają więc i swoją pracę. Nie chcą iść do słonecznej Francji, do winnic, woła żyto na własnej roli. Twarze tych wieśniaczek były szare jakieś, pomarszczone, postacie zgarbione, chociaż miały zaledwie dwadzieścia kilka lat.

Robotnik, siedzący przy nich, zapytał mnie, czy jadę z nimi. Odpowiedziałam, że nie i zadawałem pytanie, czy on jedzie do Francji na stałe. Robotnik jeszcze nie wiedział. Jeżeli znajdzie tam pracę, sprowadzi żonę. Ciężko się z nią rozstać, ale, powiedział, nie ja jeden. Wskazał na siedzących obok mężczyzn.

Chłopczyk i dziewczynka podeszli do matek. Dziewczynka rozplakała się i wołała:

— Ja chcę do chałupy, do chałupy!

I w niej odezwała się tęsknota za domem, za wsią. Chłopczyk patrzył na nią rozwartymi oczami i nagle powiedział, sepleniąc:

— Ja chcę samochód. Jada do tatusia. Tatus da samochód. Po chwili dzieci gonili się roześmiane, zapomniawszy o swoich pragnieniach — dziewczynka, że chce do chałupy, chłopczyk o samochodzie.

Znajoma załatwiła już swoją sprawę. Wychodziłyśmy. Ostatni raz ogarnęłam spojrzeniem tych ludzi. Czy ja ich kiedy zobaczę? Czy oni wrócą do ojczyzny?

Lili z Otwocka.

Jak powstaje żarówka

Żeby to zobaczyć, wyszłam z domu chora, ze spuchniętą twarzą, obwiązana, jednym słowem — bóstwem.

Duża sala, mnóstwo maszyn. Huczą motory. Na prawo, na lewo, nawprost — wszędzie maszyny, maszyny.

Przewodnik objaśnia.

Zanim przystępuje się do fabrykacji samej żarówki, należy przygotować szereg półfabrykatów szklanych i metalowych, bagietkę (szklana sztabka), szeroką rurkę, wywiniętą w ogień w kształcie talerzyka i tak też znaną, balonik, wąską rurkę, spiralkę i dwa elektrody. Spiralka, to cienki wolframowy drucik, znacznie cieńszy od ludzkiego włosa (średnica 6 mikronów). Obecnie technika oświetleniowa nastawiona jest na jaknajlepszą obróbkę spiralki, gdyż wolfram jest to metal bardzo trudno ciągliwy i wytworzenie tak cienkiego drucika wymaga wielkiego nakładu pracy.

Elektrod — to drut miedziany, przy żarówkach gazowych zakończony niklem, posiadający w pewnym miejscu zwężenie z ałażu (stopu). Skład chemiczny tego stopu jest tajemnicą każdej fabryki. To zwężenie styka się ze szkłem i posiada ten sam, co i ono spójcznik rozszerzalności.

Robotnica siedząca przy maszynie zakłada mechanicznym ruchem w szczytce automatycznie poruszającej się maszyny naprzód bagietkę, potem talerzyk, elektrody i rurkę. Szczytce przesuwają się przez szereg płomiń, które stopniowo nagrzewają talerzyk, aż w końcu maszyna zaciska elastyczne już szkło. Nóżka, otrzymana w ten sposób, ochłodzona w specjalnym piecu, wędruje

do następnej maszyny, która wyciska na końcu nóżki mały guziczek.

Teraz imna znów maszyna doprowadza drut do kowadła, na którym umieszcza się nóżkę. Nad niem znajduje się żelazny krzyż, a niżej, nieco z boku — płomień. W pewnym momencie krzyż opada i wciska obcięte druciki w roztopiony guziczek. Robotnik zgina druciki na małej maszynie w haczyki, na których ręcznie zawiesza się spiralkę.

Taka nóżka ze spiralką, włożona do umytej już i ostemplowanej bańki, zostaje zalutowana u góry. Żarówka jest więc zamknięta, a połączenie z wnętrzem ma się tylko przez wystającą rurkę. Przez tę rurkę, zapomocą coraz doskonalszych pomp, wypompowuje się powietrze i otrzymuje się próżnię.

Teraz następuje wypalanie: przy pewnym napięciu w zapalanej żarówce spalają się pewne chemikalia, uprzednio rozpylone na spiralcę. Porywają one za sobą resztki znajdujących się w bańce molekuł i rzucają je na wewnętrzną powierzchnię żarówki. Obliczono, że na ścianach żarówki znajduje się 15—40 warstw molekułów.

No i ostatni w tej sali etap — napełnianie gazem, oczywiście niepalnym, więc azotem, argonem, nigdy tlenem.

W następnej sali przygotowuje się masę do nakładania na trzony, nasadza się trzony, próbuje się ich wytrzymałości, przylutowuje się ich końce do stopki i do łuski (stopka, to czarne kółko na samym spodzie trzonu, łuska, to ta jasna metalowa część).

Teraz żarówka umyta i wytarta może powędrować do pa-

kowni, a stamtąd w świat. Ale dobra fabryka chce sprawdzić wydajność swej pracy. Więc fotometr mierzy z lumenach snop światła i w woltach pobór mocy. Sfotometrowana żarówka wypala się na ramach w stosunku 1:55, tzn. że jedna godzina palenia przy takim napięciu równa się 55 godzinom normalnego palenia. Obok każdej wypalanej na próbę żarówki znajduje się dokładna metryka: dane fotometryczne, jaka maszyna, kiedy zaczęto wypalać, tak, że można dokładnie ustalić, jak długo paliła się żarówka i obliczyć przeciętną. Normalnie żarówka powinna palić się 1000 godzin, t. zn. 3 i pół miesiąca bez przerwy. Po śmierci, t. zn. po przepaleniu, żarówki są przeważnie ciemne. Pochodzi to stąd, że wolfram paruje i osiada na ściankach balonika.

Przy okazji przewodnik pokazał nam żarówkę lotniczą. Jest to duża rura szklana, zakończona lustrzaną kulą. Spiralka wisi na mocnej rurce. Żarówka taka daje przy 1000 wolt. 6.500 świec!

W suterynie znajduje się hala maszyn z kilkoma kompresorami (ściśniętym powietrzem), próżniami, pompami, napędzonymi prądem miejskim; składnia materiałów wybuchowych, które muszą przebywać w chłodzie; baterje akumulatorów, wytwarzających prąd, stały o maksymalnym napięciu 312 wolt dla badań fotometrycznych; wyłączniki dla prądu i siły (światło i motory). Przez przesunięcie ich można w jednej chwili uimieruchomić całą fabrykę.

Wita.

—j: (—

Jak reparauje się żarówki

Fabryka była niewielka i posiadała kilka działów. Regeneracja, tzn. reparacja przepalonych żarówek odbywa się w ten sposób.

W przepalonych żarówce wywierca się otwór, przez który

żarówkę czyści się. Po wyczyszczeniu żarówka wędruje do następnego działu. Nakłada się tam druciki, służące do żarzenia się. Potem otwór zostaje zwężony i do żarówki przytwierdza się cienką rurkę szkła.

Przez tę rurkę wypompowuje się powietrze, a potem początek rurki zatapia się. Dlatego żarówki regenerowane mają szpic.

Felek z Krochmalnej.

Warsztat szewski

Idziemy jedną z najbiedniejszych ulic Warszawy, Krochmalną, celem obejrzenia warsztatu szewca Josiego Koguta.

Wchodzimy do małej, napół ciemnej izby, która służy zarazem za warsztat i mieszkanie dla licznej rodziny.

Przy oknie stoi warsztat, a przy nim na niskim stołku siedzi pochylony nad robotą siwy pan Josie.

— Co panienki mają do reparacji?

Oddajemy teczki do zeszyta. Pan Josie prosi, żebyśmy usiadły, sam zaś zasiada do turkoczącej maszyny.

Spoczątku siedzimy cicho i przyglądamy się jego robocie. Trzeba jednak zacząć rozmowę, poto właściwie przyszyliśmy. Rozpoczynamy od najważniejszego obecnie tematu — od kryzysu.

Rzeczywiście, pan Josie stał się w rozmowę. Przypominał sobie dawne szczęśliwe lata i porównywał je z doba obecną. Doniedawna zarabiał od 10 do 14 złotych dziennie, robił tylko nowe buty, a teraz zarabia 3 — 5 zł. dziennie. Prócz kryzysu odbił się na nim także rozwój maszyn, które odbierają zarobek drobnym rzemieślnikom.

Zadałyśmy wtedy pytania o jego zawód. Pan Josie powiedział, że szewstwo jest wybitnie rekodzielniczym zajęciem: wszystko prawie trzeba

wykonać własnoręcznie, przy pomocy niewielu narzędzi. Najważniejsze: kopyto, czyli drewniana forma stopy, pocięgiel — rzemień zeszyty końcami, przy trzymuje się nim but na kolanie podczas roboty; krótki nóż do krajania skóry, o ukośnię ściegłym końcu, szydło, dratwa.

Opowiedział nam, jak robi trzewiki. Bierze odpowiednio kopyto. Na spodzie przybija gwoździami pierwszą podeszewę. Potem przykrywa kopyto z wierzchu przyszwą, już z przodu skrajana, obciąża ją silnie, żeby dobrze przylegała do kopyta, i pod spodem przybija gwoździami. Następnie z pomocą szydła i dratwy przyszwą mocno przyszwę do pierwszej podeszwy. Potem na kładą na pierwszą podeszwę grubą twardą skórę. Na to przyszwą drugą podeszwę. Wreszcie robi twardy napiętnik, który przymocowuje do podeszwy, i obcas z kilku kawałków twardej skóry, która przybija gwoździami. Wyrównuje nożem brzegi podeszwy, obcasu, wygładza pilnikiem, a przyszwę i boki naciera czemnidłem.

Kończąc opowiadanie, stary Josie westchnął ciężko i dodał:

— Tak, byłoby nieźle, gdyby nie te przekleste maszyny, które od niedawna zabierają nam, biednym szewcom, ostatni kawałek chleba.

W instytucie dla ociemniałych

Czystymi schodami wchodzę na pierwsze piętro. Przechodzę przez otwarty długi kruzganek i znajduję się na terenie szkoły dla ociemniałych.

Wchodzę do klasy. Pod ścianą duża szafa. Na ścianie mapa drugiej półkuli, ale nie zwykła. Obie Ameryki, wszystkie na niej góry, rzeki i miasta są wypukłe.

Przy długim stole siedzą dwie dziewczynki i trzech chłopcy. Dziwna powaga wyryta na twarzach sprawia mi trudność w określeniu ich wieku. Przepuszczam, że waha się on między 12 a 16 rokiem. Nauczycielka przerywa wykład i udziela wyjaśnień.

Ociemniałi piszą, czytają i na swój sposób „widzą”. Widzą bardzo czułym i wysubtelnym koniuszkami palców, którymi wiodzą po książkach, kajetach, pismach i mapach.

Tylko, że druk i pismo ich są inne, niż u ludzi widzących. Pismo jest wypukłe i nie składa się z normalnego alfabetu, lecz ze specjalnie ułożonego dla niewidomych. Jest pismo sześciopunktowe, ponieważ każda litera znajduje się w prostokącie, w którym mieści się od 1 do 6 punktów. Układ tych punktów decyduje o znaczeniu litery.

Zdawaćby się mogło, że odczytywanie takiego pisma przy pomocy rąk sprawiać musi niezwykłą trudność, że będzie to raczej sylabizowanie, niż czytanie. Okazało się, że ociemniałi czytają płynnie, zupełnie tak, jak my. Jedną z dziewczynek otwiera książkę i zaczyna czytać. Natrafiła na opis natury. Słysze słowa o niebie błękitnym, zieleni lasów, o ciepłej czerwieni malin i bladej delikatnej zieleności jabłek.

Obserwuję przy czytaniu twarze pozostałych uczniów. Wydają mi się strasznie stare, smutno nieszczęśliwe. Równy, spokojny głos czytającej brzmi w zupełnej ciszy. I nagle spostrzegam na ustach jednego z chłopców jasny, szczęśliwy uśmiech. To mnie zmusza do

skontrolowania swego poglądu o wyglądzie twarzy ociemniałych. Patrząc już inaczej, głębiej, niż przedtem, nie widzę smutku i rozpacz, a raczej skupienie, głęboką zadumę i zasluchanie się w głos własnego serca. I nie wiem dlaczego rodzi się we mnie świadomość, że oni widzą kolory, że dla nich tak samo las jest zielony, niebo błękitne, dzień jasny, a noc ciemna.

Nie mogę też oprzeć się ciekawości i po skończonym czytaniu pytam się jednej z dziewczynek.

— No i jaki wydaje ci się las?

— „Las — mówi powoli i z namysłem — las jest zielony i zaciszny, i strasznie dobry. I tak w nim pięknie, i tak w nim gra...”

Lekcja skończona. Dziewczynki i chłopcy wbiegają do sąsiedniej dużej salki, która po chwili zapełnia się ociemniałymi. Wszyscy oni zachowują się jakby widzieli. Gonia się, walczy z sobą, brykają, jak normalni chłopcy w ich wieku, robiąc to na wszystkich pauczach.

Korzystam z tej swobody i wszczynam rozmowę.

— Czy czujesz się szczęśliwy? — pytam się jednego z chłopców.

— Tak. Tylko źle się czuję, gdy ktoś się nademną lituje. A ludzie bardzo często to czynią. Mam dobry słuch. Jakże często słyszę mówione szeptem z głęboką litością: „Ostrożnie, to kaleka, to ślepy”. A ja naprawdę nie potrzebuję litości, boli mnie ona nawet. O wiele bardziej cenię zachętę do wytrwania, proste „to nie straszne”, niż czule słowa politowania.

Dowiedziałem się także, że ociemniałi urządzają wycieczki krajoznawcze.

Wychodząc spotkałam w szafni panienkę. Duże, niezwykłej piękności oczy patrzą na mnie nieruchomo, martwo.

I zaów ogarnia mnie litość. Na ulicy otrząsam się z niej szybko. Nie wolno się litować, skoro tego nie chce.

Cieżko jest żyć nam wszystkim. Gnają nas często po burzliwej drodze życia przeciwnie wiatry. Walczymy ciężko z przeciwnościami i w wścieklej

W szkole dla moralnie zaniedbanych

Niewielki szary budynek na przedmieściu. Robi wrażenie zwykłej rudery, jest też nią w istocie, co rzuca się zaraz w oczy przy wejściu. Małe kwadratowe podwórko, otoczone drewnianym płotem, dom stary, jednopiętrowy, na wąskich schodach czuje się stęchliznę.

To jest miejsce, gdzie skierowane zostają wszystkie „wyrzutki społeczeństwa” dziecięcego. Tu znajdują przytułek ci, o których szkoły wydały opinię: najgorszy, kradnie, kłamie, demoralizuje otoczenie. Tu mają z nich wyrosnąć porządni ludzie.

Wchodzę do sieni. Nad drzwiami — duży, ozdobny napis: „Dobrze, żeś przyszedł”. Jedyne to chyba miejsce, gdzie osoba małego „przestępcy” jest mile widziana.

Wprost drzwi znajduje się sala rekreacyjna, w której właśnie bawią się chłopcy. Obok sali jadalnia, z drugiej strony — warsztaty, gdzie starsi chłopcy uczą się rzemiosł. Na górze sypialnie, klasy i świetlica. Ściany świetlicy ozdobione są rysunkami uczniów. Chłopców jest w szkole około 130-tu. Z tego 30 mieszka w internacie. Program nauki jest taki sam, jak w normalnej szkole powszechnej. Poza programem starsi chłopcy uczą się rzemiosł. Przychodzą tu, skierowani przez szkoły powszechne, przez sądy dla nieletnich lub też z własnej woli.

Uczniowie rekrutują się przeważnie z najstarszych rodzin społecznych. Są to dzieci, które wygnane na ulice głód, nędza czy warunki moralne w domu, dzieci, krzywdzone od najmłodszych lat moralnie i fizycznie. Obracają się one w sferze występku i zbrodni, od dzieciństwa mają oczy otwarte na całą podłość i nędzę życia, które tłoczy je brutalnie do ziemi. Cóż więc dziwnego, że ulegają, że nawet najlepsze jednostki zaczynają nienawidzić wszystkich i wszystko, że stają się przestępcami. U niektórych występki noszą poprostu charakter zemsty zbiorowej, nienawiści za wszystko: za ojca alkoholika, za matkę katowaną i bitą, za głód, za nędzę i upokorzenia. Dzieci takie, przyszedłszy do szkoły, mają już za sobą całą gehennę bolesnych przeżyć i cierpień. Są nieufne, zamknięte w sobie, podejrzliwe.

Jakże trudno przełamać ten mur niechęci, jaki powstał pomiędzy dzieckiem, a światem zewnętrznym. Trzeba podejść do niego ostrożnie, aby nie zadrasnąć świeżych ran, umiejętnie, aby wzbudzić szczerą.

Kierowniczka tej szkoły jest jedną z niewielu ludzi którzy to uczynić potrafili. Łączy ona obok wielkiego serca i umiłowania swej pracy światły umysł, który wie, jak przemawiać do tych małych wykołobajców.

W tej szkole nie traktuje się ich, jak przestępców, ale jak równych sobie ludzi, ich występki — jak choroby duszy, którą szukają lekarstwa wspólnie z wychowawcami. To też wyniki, osiągane przy tej metodzie postępowania, są niezwykłe. Po pewnym czasie po u w szkole, znika ów mur niechęci, a stosunki między wychowawcami a uczniami zaczynają opierać się na wzajemnym zaufaniu i szczeroci. Nie

walce o byt nie mamy nawet czasu, by zająć w głąb samych siebie, tam, gdzie ukrywa się prawdziwe piękno.

A oni to właśnie mają. I bied-

znaczy to, że w chwili przestąpienia progów szkoły, uczeń poprawia się. Nie, ale zaczyna pracować nad wypienieniem do tychczasowych wad i przyzwyczajęń, co przy pomocy wychowawcy najczęściej udaje mu się. O tem, że tak jest, świadczy fakt, że po ukończeniu szkoły tylko niewielki procent uczniów wraca do dawnego życia.

Przeglądam t. zw. księgę szczeroci. Księgie te otrzymują kierowniczka na imieniny od chłopców. Piszą tam listy do niej, w których opisują swoje przeżycia. Muszę wyznać, że przy czytaniu ich zwierzeń dawało mi się w gardle.

„Wychodziłem z nim często na kradzieże, — pisze chłopiec. — Najczęściej w nocy. On stał pod oknem, a pilnowałem, czy kto nie idzie...”

Diugi dosyć list, utrzymany w tonie całkowitej szczeroci. Wyliczone w nim są najrozmaitsze kradzieże, w których występuje tajemniczy „on”. Oddając kierownicze list, chłopiec powiedział:

— To mój ojciec, proszę pani, a napisałem „on”, żeby chłopcy, jak będą czytać nie wiedzieli, że ktoś z nas ma takiego ojca.

„Najwięcej się boję, jak krzyż. Wolę, żeby mnie bili, niż mają krzyżować. — pisze inny. — Jak mi kto wymyśla, to mógłbym zabić, albo uciec: tak się boję. Raz ukradłem ojcu papierosy. Ojciec zobaczył, strasznie się wtedy bałem, ale matka wyprosiła i nic mi nie było. Później, za ten strach, namówiłem chłopców, żeby wybili u nas szyby”.

Czy takiemu nerwowemu dziecku nie należałoby się raczej opieka lekarska, niż sąd i dom poprawczy?

Inny znów pisze:

„Ja bardzo chciałbym się poprawić. I wiem, że źle jest kraść, ale czasem tak mnie coś pokusi i wezmę. I kłamać też nie lubię, ale jak jestem zły na „pana”, to kłamię. Na złość, ocjamnie. Jak pani powiedziała, że mi uia i że ja wcale nie jestem taki zły, to wtedy postanowiłem poprawić się. I myślałem, że jeżeli nie jestem zły, to mogę się poprawić, a teraz po tem, co było, pani mi już chyba nie ufa. Więc pytam się pani, czy ja naprawdę nie jestem zły? Bo czasem to mi się zdaje, że jestem już taki zły, że nic nie pomoże, ale jeżeli pani powie, że nie, to może będę mógł się poprawić”.

It to jeden z tych najgorszych, którego usunięcia bezwarunkowo domagała się rada pedagogiczna. Jak wielka jest tragedia tego chłopca, który chce być innym, a jest w nim coś takiego, co mu na to nie pozwala. Jak potężnym dla niego bodźcem jest czyjaś wiara w niego i dobre o nim mniemanie. Nie wiem, czy te wszystkie czynniki biorą pod uwagę ci, co małych „przestępców” umieszczają w więzieniach i domach poprawczych.

Dziwny jest stosunek tych chłopców do rodziców. Drżą z oburzenia, gdy ktoś powie o nich coś złego. Jest dla nich ogromnie bolesne, że rodzice często nie mają dla nich żadnego uczucia.

Raz zdarzył się w internacie następujący wypadek. Jeden z chłopców poszedł na imieniny,

niejsi od nas czem innym, mają nad nami przewagę — piękna i bogactwa duszy.

Sara z Bonifraterskiej.

do domu. Po powrocie opowiadał kolegom, jakie wspaniale dostał prezenty, jak dobrze się bawił. Kierowniczka zauważyła jednak, że chłopiec jest nienaturalnie wesoły. Wieczorem, gdy wszyscy już spali, podeszła do niego. Zobaczyła, że chłopiec dusi się od płaczu. Opowiedział jej wówczas, co zobaczył w domu, jak wyrzucono go na ulicę, a mówił co innego, „żeby chłopcy nie wiedzieli”.

Kiedy czytałam te ich listy i słuchałam opowiadań, odniosłam wrażenie, że ci chłopcy, oderwani niemal od krutek więziennych, są lepsi do swych moralnych rówieśników. Oni mają ideały, potrafią marzyć o nowym, lepszym świecie, dążyć do wypienienia zła, myśleć o szczęściu ludzkości, do czego zdolne są bardzo nieliczne jednostki z próśrd normalnej młodzieży. Są przytem subtelniejsi, reagujący żywiej, myślący intensywniej.

Nastroj w szkole pamięję ogromnie serdeczny, domowy. Widać, że chłopcy kochają swoich wychowawców i swoją szkołę. To przecież ich dom. Tu poraz pierwszy uznano w nich ludzi, poraz pierwszy dano im warunki normalnego rozwoju. Tu przeżywają najjaśniejsze chwile swego życia. W stosunku wychowawców do chłopców jest ogromna prostota, ani cienia wyższości, a jednocześnie jest on nacechowany serdecznością. Uczniowie wraz z wychowawcami stanowią jedną wielką rodzinę. Świadczy o tem chociażby fakt, że imieniny każdego z wychowanków obchodzi cała szkoła.

A przecież ci wychowawcy pracują daleko ciężiej, niż nauczyciele szkół normalnych i w daleko gorszych warunkach. Ich praca nie kończy się z dzwonkiem, trwa cała doba.

Przytem warunki higieniczne w szkole na Budowlanej są bardzo złe. Brak najpotrzebniejszych ubikacji, ciasnota, wszystko to czyni pracę daleko cięższą. A pomimo to wychowawcy pracują z oddaniem, radośnie, tak, że ta radość promieniuje na otoczenie. Szczęście mieli ci chłopcy, którzy dostali się do tej szkoły.

Ale nie należy zapominać, że jest ich zaledwie 7 proc. ogólnej liczby kandydatów. Pozostali albo przymierają głodem na ulicach Warszawy, albo przyłapani na kradzieży, zostają umieszczani w więzieniach i domach poprawczych. Jeden z wychowanków tej szkoły mimo starań kierownictwa powędrował do Studzińca. Pisze nawet, że mu dobrze, ale te listy przechodzą przez cenzurę.

Na zakończenie oglądam warsztaty. Jeden z najstarszych wychowanków z dumą pokazuje szafę, która wykonał samodzielnie.

Wychodzę z uczuciem głębokiego zadowolenia. Zaczynam jaśniej patrzeć na świat. Więc niema ludzi naprawdę złych, jeżeli ci, którzy uważani są powszechnie za najgorszych, posiadają tyle dobrych pierwiastków w swych duszach. Trzeba tylko umieć te pierwiastki obudzić. A do tego trzeba, by więcej było takich szkół i takich wychowawców. Wówczas może znikną z powierzchni ziemi więzienia i domy poprawcze.

Marysia.



MAZEL TOW.

Pojechałem autem do rabina. Goście już się zebrałi.

Jak Salek tylko wszedł, włożył Reginie tiul na głowę. Ja trzymałem świeczkę, i dużo ludzi też trzymało świeczki.

Regina i Salek stali razem z rabinem pod baldachimem. Pili wino z jednej szklanki, potem cisnęli szklankę o podłogę i podpełniali ją nogami.

Salek włożył Reginie obrączkę. Wszyscy mówili pannie młodej:

— Mazel-tow, winszujemy!

MIECIO z Miłej.

WIOSNA NA WSI.

Cały rok mieszkałam w Śródborowie, i najbardziej się ucieszyłam, gdy nadeszła wiosna.

Raz ja i kilka moich koleżanek wybraliśmy się za Śródborów. Słyszymy może cztery godziny. Gdy wracaliśmy spowrotem, zauważyłam chatę ze słomianym dachem. Ucieszyłam się bardzo i powiedziałam koleżankom, że to napewno większa chałupa.

Wtem koleżanka powiedziała, że ma przy sobie kilka groszy, więc możemy wejść do chałupy i kupić u gospodyni mleka, bo bardzo nam się chciało pić.

Wszystkie zgodziły się i weszłyśmy. Poprosiłyśmy o kwarę mleka. Gospodyni nie chciała sprzedać, tylko poczęstowała nas bezpłatnie. Przyniosła ławę do stołu, gdzie postawiła kartoile z kapustą.

Jak wszystko zjadłyśmy, podziękowaliśmy za skromne przyjęcie i ruszyliśmy w powrotną drogę.

JANKA z Chłodnej.

NASTANIE WESELSZE ŻYCIE.

Leżałem w łóżku i byłem bardzo osłabiony. Marzyłem o pomarańczy i obliżywałem suche wargi.

Wieczorem, po całodziemnej pracy, mamusia wróciła do domu. Nie wytrzymałem i poprosiłem o pomarańcz. Mamusia nie miała pieniędzy, ale położyła od sąsiadki i przyniosła mi dwie duże, soczyste pomarańcze, jedna była nawet malinowa. Zaczęłem łapczywie je jadać, aż wstyd mi było przed mamusią, która stała w kącie i patrzyła na ten pogrom. Innym razem napewnoby kazała dziś zjeść jedną, a drugą schować na jutro. Teraz mamusia była łaskawa i nic nie mówiła.

Kiedy ogłoszono konkurs na temat: „Gdybym był Kajtusem“, prawie wszyscy za dużo wymagali. Gdybym ja był Kajtusem, rozdawałbym chorąm dzieciom pomarańcze.

Ale i tak jestem zadowolony, bo przyszła już wiosna, i z radości chciałbym fruwać w powietrzu. Potem przyjdzie lato i owoce. Wtedy mama także kupuje owoce, bo i biedni mogą sobie na to pozwolić.

A jak w lecie zelówki są trochę nie w porządku, to też nie nie szkodzi, bo jest przecież ciepło i wesoło.

MITEK z Nowolipia.

NAJGORSZA KLASA.

W naszej klasie niema dobrego samorządu. Przewodnicząca skarży się na dzieci i bije je. Największymi łobuzami są chłopcy.

My chcemy mieć kółko koleżeńskie, ale jak możemy je mieć, kiedy koleżanki skarżą się.

Wstyd pisać, jaka jest nasza klasa. U nas przed lekcjami odmawia się modlitwy, a chłopcy wcale na nią nie przychodzi.

Wszyscy narzekają na naszą klasę. Wozna narzeka, że długo się ubieramy po lekcjach, nauczyciele, że jesteśmy nieznośni. Wogóle nasza klasa jest najgorsza z całej szkoły.

FELICJA z Wołyńskiej.

LEKCJA RELIGJI.

Przed każdą lekcją religii panuje w klasie wielki hałas. Wszyscy uczą się zadanej lekcji i przepisuja streszczenie.

Dopiero, gdy po dzwonku wchodzi nauczyciel, w klasie robi się cicho. Słychać tylko szept dziewczynki, która skarży się koleżance, poco uczą religii, komu potrzebne są mowy proroków, i dlaczego zadaje się tyle streszczeń. Druga odpowiada jej, że wszyscy żydzi powinni się uczyć historii swego narodu. Nauczyciel, podsłuchawszy szept, wyrzuca obie za drzwi.

Teraz wywołuje ucznia, któremu każe opowiedzieć ostatnią lekcję. Uczeń nic nie umie i dostaje dwójkę. Drugi wywołany trochę umie, dostaje trójkę i jest bardzo zadowolony.

Następnie nauczyciel wywołuje dziewczynkę, która umie na piątkę. Potem opowiada nam nową lekcję i każe streścić z książki. Dzwonek przerywa nam lekcję i nauczyciel wychodzi z klasy.

HANKA z Ogrodowej.

CO ZAWDZIECZAM KSIĄZCE.

Kiedy byłem jeszcze bardzo mały, lubiłem słuchać bajki. Ma ma musiała po kilkadziesiąt razy opowiadać jedno i to samo. Wkońcu zaczęła mi czytać książki.

Jak urosłem, zacząłem już sam czytać i prosiłem mamusi, żeby mnie zapisała do czytelnicy. Lubię czytać książki, bo z nich dowiaduję się, jak żyli ludzie, którzy urodzili się przedemną i ci, którzy mieszkają w innych krajach. Poznaje życie różnych zwierząt i ptaków.

Czasem, jak książka jest smutna, chce mi się płakać, a jak wesoła, to się śmieję, bo zdaje mi się, że wszystko, o czym piszą w książce, dzieje się ze mną. Czytając książki, umiem lepiej pisać i uczyć się nowych wyrazów.

Lubię książki jeszcze za to, że dzięki nim spędzam przyjemnie czas, zamiast się nudzić, gdy nie mam co robić.

Z książek, dotychczas przeczytanych, najbardziej podobała mi się „Sława“ Korczaka, bo ja też chcę być sławny.

JURAS.

W KINIE.

Pani powiedziała, że kto chce pójść do kina, niech przyniesie 25 gr. Poszliśmy do kina „Modern“. To był palestyński obraz. Najpierw pokazali prezydenta Sokotowa, potem miasto Tel-Awiw. A było tak:

Żydzi kupili u jednego araba ziemię. W tej ziemi była roślina, która nazywa się „sabra“.

Dzieje jednego wycięcia

Zauważyłem dość częste wypadki, gdy film jest spożatku niedozwolony, a potem się go nagle „dozwala“ dla młodzieży. Wydawałoby się napozór, że to jest kwestja usilnej prośby dyrekcji kina czy też stosunków.

Nie, zazwyczaj w takich wypadkach cenzura wycina kawałek taśmy, który według cenzorów wpływa demoralizująco na młodzież. Przeważnie takim wycinkiem jest scena miłosna, zbyt duża ilość pocałunków etc. Przykład tego mieliśmy w „Poganińcu“. Cenzura orzekła, że Ramon Novarro jest zbyt... wydekoltowany. Z „10 proc. dla mnie“ wycięto scenkę z modelką w magazynie, bo paradowała w zbyt krótkim desous. Do licha! Przecież to scena zupełnie naturalna. Wiadomo, że w magazynie mój modelka nosi desous. Ale wybitnie nieśmaczną i nieinteligentną scenę z ubiorkiem zostawiono ku uciesze peryferyjnej publiczności.

Ostatnio spotkałem się znów z wypadkiem, że film po tygodniu wyświetlania został dozwolony dla nas. Mówię o filmie „A. L. 14 zatonała“ (kino „Europa“).

Byłem na tym obrazie, gdy go jeszcze nie „dozwolono“ dla

nas, i oburzyłem się. Miłość pełna poświęcenia. Nic zdrożnego. A jednak — niedozwolony! Naogół film mi się podobał spowodu dobrej techniki i gry Waltera Hustona.

Jedna scena zwróciła na siebie ogólną uwagę i wywołała dyskusję. W pewnym momencie podwładny uderza w twarz swego przełożonego.

— Niesłusznie postąpił, — słyszało się głosy na sali w przerwie.

— Gdyby nawet przełożony najbardziej skrzywdził młodszego, ten musi milczeć i wykonać rozkaz, a potem może wnieść skargę do instancji miarodajnej.

Scena ta doprawdy psuje wrażenie.

Gdy dowiedziałem się, że film został dozwolony, pobiegłem drugi raz, by skonstruować różnicę. I cóż widzę: właśnie ta scenka została wycięta, jako demoralizująca.

O, Boże! Więc chcecie w nas, panowie, stłumić ostatnią iskierkę krytycyzmu? Dowiedźcie wam, że ile młodzieży na tem było przed „dozwoleniem“, napewno krytykuje ten moment. A wy boicie się, by młodzież nie naśladowała Roberta Montgomery.

Efr.

Tomek Sawyer na scenie szkolnej

W tym roku szkolnym pracowano na uczniowskiej scenie z wyjątkowym zapałem. Uważny krytyk i miłośnik teatru młodych (myślę, że w końcu znajdzie się specjalista i w tej dziedzinie) mógłby napisać wcale ładną i zajmującą rozprawę o kierunkach poszczególnych teatrów szkolnych, skreślić ich historię, rozważyć strony dodatnie i ujemne, wreszcie sporządzić bilans uczniowskiej pracy teatralnej w roku bieżącym.

Przyszły historyk teatru szkolnego niewątpliwie poświęci rozdział tym nielicznym nawiązanym do dramatyki, które pierwsze zerwały z szablonowością, szukały odpowiedniego repertuaru i przez analizę sztuk na posiedzeniu sekcji, przez umiejętne odtworzenie każdej postaci, przemyślanej do najdrobniejszych

Ludzie ciężko pracowali, aby wyczyścić tę ziemię od sabry.

Żydzi postanowili wykopać ją, aby mieć własną studnię i nie płacić arabom za wodę. Jeden z robotników był głuchoniemy. Jak był dzwonek, wszyscy szli na obiad, a on nie słyszał dzwonka, więc pracował dalej. Kopał, kopał, aż ukazała się woda. Wtedy zaczął tańczyć z radości. Tymczasem z gór spadło dużo ziemi, która zasypała studnię i głuchoniemego.

Przyszli robotnicy i widzą za synaną studnię. Zaczęli kopać i wygrzebali głuchoniemego. Położyli go do łóżka, a nazajutrz on wyzdrowiał.

Był jeden zły arab, który zamknął studnię i kazał arabom zabijać żydów. Zabili jednego, a potem jakiś człowiek powiedział, że zły arab zamknął studnię na klucz.

Wtedy arabowie przestali bić żydów, a żydzi im odpowiedzili, że będą im dawali wodę bez pieniędzy.

CHACIUS z Białegostoku

szczegółów, rozpoczęły okres reformacji.

Ułatwiam zadanie nieznanemu koledze i z obowiązku kronikarza zwracam uwagę jego na pracę koła dramatycznego przy gimnazjum Zjednoczenia Nauczycieli. Uczeń szkoły powszechnej przy tem gimnazjum wystawił ostatnio „Przygody Tomka Sawyera“. Tomek, reżyserowany przez profesora polonistyki, pana Centnerszweira, był tak pyszny, że gdyby na widowni siedział starowina Twain, niewątpliwie przyznałby się do ojcostwa. Miejscami Tomek był nawet lepszy, w każdym bądź razie bliższy, niż na ekranie. Gra całego zespołu w zupełności zasłużyła na te okłaski, od których trzęsła się sala gimnazjum.

„Tomek Sawyer“ na scenie gimnazjum Zjednoczenia Nauczycieli raz jeszcze potwierdza słuszność naszego żądania, że pionierzy powinni już zabrać się do organizacji międzyszkolnego teatru w Warszawie.

Gr.



ŻARTY

SAD SUBJEKTYWNY.

Chłopczyk jedzie na wieś do babci. Nie był tam już rok i mówi:

— Ciekawym, czy teraz babcię poznam. Musiała przez ten czas bardzo podrosnąć.

RÓŻNICA.

— Słuchajno, ciągle cię widzę tylko w jednej rekawiczce. Zgubiłeś drugą czy co?

— Nie, tę znalazłem.

HYPNOZA SZTUKI.

— E, wiesz moje dziecko, może to i ładne, ale ja nie lubię waszej współczesnej muzyki...

— Ależ, ciociu, to tylko odkurzacz elektryczny!...



Rozwiązania z numeru poprzedniego:

ślimak literowy:

S	t	a	r	o	s	t	a
t	o	r	p	e	d	a	p
n	r	y	b	a	k	n	o
e	a	d	a	r	r	t	s
m	g	a	s	a	e	e	t
r	e	g	o	r	w	n	a
e	z	s	u	k	r	a	t
f	a	r	g	o	t	u	a

Łamigłówka trójkątna:

w	r	o	n	a
r	o	s	a	
o	s	a		
n	a			
a				

ZADANIE ARYTMETYCZNE

nadesłał Jakób Fajn.

Do 10 koszyków włożono 140 flaszek w ten sposób, że w każdym było o dwie flaszki więcej niż w poprzednim. Ile flaszek było w pierwszym koszu?

Rebusik.



DOBRE ROZWIĄZANIA ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

NADEŚLAŁI:

Basia Albekówna, Alina z Włocławka, Estusia i Iziek Ascheniari, Baby, Bala i Bea, Beniek z Nowolipiek, Siostrzyczki Bielickie, Różia Drózdziarz, Edgar, Jakób Fajn, Hanka Feiginówna, Beniek Fiszer, Abram Freidenreich, Zaza G., Tadzik Ginzburg, Elżynia Goldmanówna, Adas Gottlieb, Iser z Dzieleń, Eluma Justmanówna, Jerzy Kerner, Halina Kirszbium, Lusia Kirsztówna, Nusia Kurczyńska, Esterka Lengerówna, Pola Litmanowicz, Sz. Łąnowski, Dorca Majerowicz, Moś z Nalewek, Basia Muszyńska, Kuba Nuskiel, Ina Ostrowska, B. Rapaport, Tadeusz Rosenwein, Lola Szeingros, Tobiś i Tadzio Szyber, Zachary Śniadowski, Józio Wolteger, Bela Zaks, Icek Zylberberg.



„DZIECIAKOWO“.

Redakcja otrzymała zaproszenie na zwiedzenie „Dzieciakowa“ w Józefowie. Jestto coś w rodzaju kolonii czy pensjonatu dla dzieci. Otwarcie „Dzieciakowa“ nastąpi 1-go maja. Kolonia ta jest obliczona na sześćdziesiąt dzieci. Budynek jest zimowy, murowany, zimą bowiem będą tam osiedla szkolne.

Właściciele „Dzieciakowa“ założyli go w celach bardziej filantropijnych — pragną, żeby jaknajwięcej biednych uczniów ze szkół powszechnych mogło skorzystać z tego rajku dla dzieci.

Szczegółowe sprawozdanie i opis — w następnym numerze.

Telefonicznie porozumieć się z redakcją Małego Przeglądu można we wtorki i piątki między 1—2, — tel. 11-99-17.

— Interesantów redakcja przyjmuje w niedziele od godz. 4 do 5, — Nowolipki 7.

Na niedzielę, dn. 8-go kwietnia, są proszeni: M. Natanblutówna, Sara Rozenfeldówna, Izio Cukier i M. Rabinowicz.